T Y G O D N I K
W I L E Ń S K I

Ner 114.

Dnia 15 Maja 1818 roku v. s.

PODRÓŻE do BREZYLII i RIO de la PLATA przez Jana Mawe.

(Ob. wyżey Ner 112.)

Wzięcie miasta Monte-Video przez Anglików pod dowództwem sir Samuel Auchmuty zostających, było powodem Panu Mawe do opuszczenia wsi P. Martinez, gdzie w spokoynéy ustroni, czas swóy na zatrudnieniach mineralogicznych i poznaniu mieszkańców tego kraju przepędzał. Wkrótce uyrzawszy się wpośród swych współrodaków, idących na wyprawę przeciw Buenos-Ayres, poświęcił im swe usługi, i z dywizyą Jenerała Whitelocke udał się w pochód. Wiadomo jest wszystkim, jak nieszczęśliwy był skutek téy Anglików wyprawy; nie tylko, że zamiary ich względem opanowania Buenos-Ayres na niczém spełzły, ale i Monte-Video, tak ważny punkt, straconém zostało. P. Mawe jednak użyty

od Komissarza jeneralnego armii angielskiéy, tak dla zatrudnień nowego obowiązku, jako i dla swoich interesów, pozostał czas niejaki w Buenos-Ayres. W uwagach swoich nad tém miastem, tak się wyraża.

„Krótki móy pobyt w Buenos-Ayres, nie pozwolił mi zatrudnić się badaniem mineralogiczném; ale i kray ten nawet będący tylko niezmierną przestrzenią, bez żadnego śladu skały, nie wystawia żadnych źródeł do podobnego rodzaju pracy. Sądząc po muszlach i innych płodach wodnych, które się tam i ówdzie postrzegać dają, byłbym tego mniemania, że cała ta okolica tworzyła, w pewnéy jakiéyś epoce, grunt, rzeki, i że osuszoną została, ciągłém skupianiem się cząstek ziemnych, i działaniem rzeki de-la-Plata, która przez długi szereg wieków, wydrążała coraz głębiéy łożysko, jakie dziś zaymuje. Jedna okoliczność właśnie zdaje się popierać to mniemanie, to jest: że ziemia coraz więcéy nad rzeką przybywa, i że kiedy wiatr wieje ze strony składów muszlowych, wielka przestrzeń odsépów nie daleko Buenos-Ayres będących, osusza się zupełnie.

Ludność samego miasta Buenos-Ayres z przedmieściami wynosi do 60 tysięcy mieszkańców. Proporcya kobiét do mężczyzn jest, jak jeden do cztérech; lecz jeżeli zważymy, jak wiele przybywa codziennie męż-

czyzn tak z Europy, jako i z prowincyi Ameryki południowéy, i że pod rządem hiszpańskim, nie można łączyć do massy ludności, rekrutów milicyi i marynarki: łatwo się znaydą powody mniemania, że tak nie równa proporcya dwóch płci, jest tylko pozorną. W środkowych częściach kraju, liczba mężczyzn, daleko bardziéy jeszcze przechodzi liczbę kobiét; grunta bowiem są nieźmiernie obszérne, a mieszkający na nich rolnicy, w niewielkiéy liczbie i ubodzy, nie znaydują dosyć zachęcenia do związków małżeńskich i osiedlania się. Biédni zatém, zmuszeni do bezżeństwa niemożnością wyżywienia siebie, zwykli uważać stan małżeński, jako połączony z uciążliwemi obowiązkami i nieuchronném nieszczęściem. Nie rzadką jest rzeczą, widzieć posiadłości rozciągléysze od niejednéy prowincyi angielskiéy, w których jednak nie można więcéy znaleść nad sto rolników, żyjących z przedaży małéy ilości zboża.

Ludność składa się z następnych pokoleń:

1. Hiszpanie prawdziwi, czyli europeyczycy. Liczą ich około trzech tysięcy w Buenos-Ayres; wewnątrz zaś kraju liczba ich nie jest znaczącą, wyjąwszy Potosi, jako w miéyscu kopalni.

2. Kreolowie; prawi potomkowie hiszpanów, czyli europeyczyków.

3. Metisowie; pochodzący z europeyczyków i Indyan.

4. Indyanie; tych większa część ma mieszaninę krwi hiszpańskiéy.

5. Mieszańcy europeyczyków i Afrykanów.

6. Mulatrowie różnych stopni.

Wszystkie te pokolenia mieszają się pomiędzy sobą bez żadnéy przeszkody, tak, że trudno jest oznaczyć stopniowania mniéy wyraźne. Mało jest bardzo familii, w którychby się rysy charakterystyczne, fizyczne lub moralne, pokolenia indyyskiego nie przebijały. Nie uważają teraz bardzo w osadach hiszpańskich na to zmieszanie krwi, a rozmaite urządzenia dążące do utrzymania różnicy pokoleń poszły w zaniedbanie. Spodziewać się należy, że to wielki pożytek społeczności przyniesie, ściągnie bowiem do jednego punktu interesa rozmaitych klas, które gdyby oddzielnemi zostały, mogłyby kiedyś zagrażać trwałości rządu, jak to się już stało na osadzie francuzkiéy Saint-Domingo."

Opisując różne oddziały społeczności w Buenos-Ayres, mówi daléy Autor, będę je uważał, nie podług urodzenia, dostojeństw, lub professyi, ale podług mniemania, jakie tam mają o ich bogactwie, albo użytku publicznym.

„Każdy prowadzący handel, zacząwszy

od przekupnia ulicy, aż do bogatego kupca magazynów, uważany jest za negocyanta. Nie wielu jednak jest takich, którzy mają prawo do tego tytułu; większéy bowiem części zbywa na doświadczeniach praktycznych, tak potrzebnych w interesach handlowych. Czują oni wstręt do tego wszystkiego co tylko jest spekulacyą, lub wielkiém przedsięwzięciem; sposób zwyczayny ich handlu, jest nabywanie potrzebnych im towarów w hiszpanii, i przedawanie ich z nieźmiernym zyskiem. Wyobrażenia ich nie rozciągają się daléy; i powiadają, że jeden z naywiększych powodów, który mają do sprzeciwiania się wolności handlu z obcemi narodami, jest właśnie przekonanie się osobiste, o niedoświadczeniu i małéy wiadomosci w téy części. Nayznakomitsze domy, są w ogólności gałęziami domów européyskich. Nie wielu Kreolów prowadzi handel prawdziwy; ale ci którzy się mu oddają, prowadzą go zawsze na większą skalę, niż Hiszpanie. Nie przychodzą jednak tak prędko do bogactw, bo ich charakter męzki i niepodległy, pogardza środkami, których tamci używają, to jest: obrzydłego skępstwa i hypokryzyi. Pomiędzy handlarzami niższego stopnia, którzy naywięcéy zarabiają, są: 1. szynkarze, *pulperos*, co przedają wino, wódkę, chléb, świéce, i t. d., sklepy ich są schadzką próżniaków,

a tych liczą około siedmiuset w Buenos-Ayres; 2. Przedający szkło, korzenie, różne artykuły konsumpcyi i niektóre rękodzieła; 3. Kupcy sukien, jedwabnych i bawełnianych materyi, kapeluszów, i innych rzeczy do ubrania służących. Wielu z nich robi znaczne majątki, a osobliwie ci, którzy z Lima, Peru, Chili i Paraguay, handel prowadzą, używając do tego młodych ludzi, jako faktorów swoich. Inny jeszcze rodzay kupców, jeśli tylko zasługują na to nazwisko, jest ten, co się bogaci przez skupowanie płodów piérwszéy potrzeby do żywności, a nadewszystko zboża, które przywoża zewnątrz kraju, a to z wielką szkodą rolników.

Druga klassa mieszkańców składa się z właścicielów ziem i domów. Są to wszyscy niemal Kreolowie, ponieważ bardzo mało europeyczyków obraca swoje kapitały do budowania domów, lub kupowania majątków, wprzód nim zrobią sobie dostateczną fortunę, z któréyby żyć mogli. Nastepuje więc to, aż wtenczas kiedy są już w wieku podeszłym, tak że owocu ich starań używają potomkowie. Prosty właściciel ziemski tak mało ma dochodu z swojego majątku, że zawsze prawie jest dłużnikiem kupca; a fortuna jego staje się często łupem przekupniow. Nie mając bynaymniéy urzędników, którzyby go reprezentowali

i wchodzili w interessa, pozbawiony jest wszelkiego sposobu oparcia się niesprawiedliwościóm i zdzierstwom. Wszystko co się tycze rolnictwa tak jest niedoskonałe, i tak źle urządzone, że właściciel majątku od dwódziestu tysięcy piastrów wartości, zaledwo może się utrzymać z swojego dochodu.

Po właścicielach idą rolnicy, których nazywają, *quinteros* albo *chacareros;* ci uprawiają pszenicę, maïs i inne zboże, a tak są uciśnieni i ubodzy, że pomimo ważności ich professyi, i użytku z ich pracy, mieszczą się w ostatniéy klassie społeczeństwa.

Trzecia klassa jest rzemieślników jako to: mularzów, cieślów, krawców i szewców; ci chociaż pracują wiele i dobrze są płatni, rzadko jednak przychodzą do dobrego bytu. Robotnicy są zazwyczay ludzie kolorowi, a sami rzemieślnicy ich panonowie, często Genueńczykowie, a zawsze cudzoziemcy; bo hiszpanie pogardzają temi professyami, i nie mogą zniżyć się, aż do pracowania razem z negrami i mulatrami. Tragarze tworzą oddzielne ciało; zostają na ulicach do ładowania i wyładowania wozów, ale tak są leniwi i nieporządni, że nie można za pewność ich usług, ani na jeden tydzień zaręczyć; kiedy cokolwiek dostaną piéniędzy, zaraz piją i gra-

ją, a straciwszy cały zapas, puszczają się nawet na złodziéystwo. Te złe nałogi, są od dawnego już czasu prawdziwą zarazą publiczną: a przecież nie obrano dotąd żadnego środka do zaradzenia temu nieszczęściu, ani też klassy wyższe okazują chęć przyłożenia się do reformy takiego nadużycia.

W czwartéy klassie można mieścić osoby w urzędach będące. Celniéysze z nich zostają w ręku hiszpanów; inne zaś mniéy znaczące, zaymują Kreolowie. A ponieważ od hiszpanów rząd nie wyciąga pracy i pilności w zatrudnieniach, nie można więc takich urzędników uważać za użytecznych krajowi, chyba tylko dla tego, że znaczne dochody i pensye przez siebie pobierane, na miéyscu wydają.

Piąta klassa zawiera woyskowych. Przed najazdem Anglików, oficerowie nie uchodzili, ani za bardzo biegłych w nauce swojego stanu, ani za dosyć gorliwych w jéy nabyciu. Naygłówniéysze ich zabiegi, miały na celu otrzymanie dowództwa w jakim mieście, a szczególniéy na granicach portugalskich, gdzie się mogą przez kontrabandy zbogacać. Żołniérze byli źle ćwiczeni, źle ubrani i nikczemnie płatni. Wszystkie siły wojenne utrzymane w téy osadzie przez rząd hiszpański, składały się: z jednego półku liniowego, który powinien był mieć 1,200 ludzi, ale w rzeczy samey i pó-

łowy tego nie zawierał; z półku dragónów od 600 ludzi, i dwóch półków innéy jazdy; i potrzecie z jednéy lub dwóch kompanii artyleryi. Oprócz tego, podczas wpadnienia anglików, utworzono osobny korpus do dziewięciu tysięcy wynoszący.

Szósta klassa złożona jest z duchowieństwa w liczbie blisko tysiąca osób. Swieckie duchowieństwo, nauką, uczuciami honoru i poczciwości, odznacza się od zakonników, którzy są powszechnie w naygrubszéy nieświadomości i zabobonach pogrążeni.

Taki był stan Buenos - Ayres w 1807 roku. Ze wszystkich moich postrzeżeń, powziąłem bardzo korzystne mniemanie o mieszkańcach tego miasta. Są to ludzie łagodni, rozsądni i wspaniali; gdyby żyli pod rządem łaskawym, któryby miał więcéy ich dobro na widoku, mogliby zapewne stać się wzorem dla innych osad; ale smutna rzecz wyznać, że moralność tam w mało co lepszym jest stanie, jak w innych prowincyach ameryki południowéy. Przyznać to należy złemu sposobowi edukacyi młodzieży, zgubnemu przykładowi przez zbrodnie europeyczyków danemu, i nakoniec przeważającemu systematowi nietolerancyi, który chcąc zrobić ludzi, czém bydź nie mogą, robi ich takimi, jakiemi bydź nie powinni. (*Dalszy ciąg późniéy*).

Wyjątek z Poematu Bibeidy, Raymunda Korsaka.

(Pieśni czwartéy dokończenie).

Już gęste w koło puszczone podsłuchy,
Jutrzeńki promień powitały miły;
Zewsząd roskosznie stan milczenia głuchy,
Rzewliwe głosy słowików pieściły.
Wtém zawiść straży przebywa łańcuchy,
Gdy ją stojące na wieżach zoczyły,
Wnet twarde surmy i piszczące rogi,
Wypadek w zamku ogłosiły srogi.

Za hasłem wierna zgromadza się rada,
Każda przybywa z mieczem i puklerzem;
Wszystkiemi Dydo bezpośrednie włada,
Zemsta i sława wszystkich jest przymierzem.
Wyższą Stolicą władnąca zasiada,
Bolein Marszałkiem, a Howard Kanclerzem:
Po obu stronach są Królowe tronu,
Jedna Egiptu, druga Arragonu.

Możnéy Królowéy wielkie urzędniki,
Pani z pośpiechem zajęli pokoje:
Czyniąc nadobne oraz groźne szyki,
Z lewéy i prawéy stoją dziewic roje;
Odźwiernych skoro usłyszano krzyki,
Wnet Epicharis otwiera podwoje,
Zawiść na salę gdy weszła zajadła,
Rada jęknęła, a Królowa zbladła.

Ta niezmieszana tęmi zacznie słowy,
Królowo szczęsnym ozdobna wawrzynem,
Racz przyjąć skargi i żal móy surowy,
Między Bałtyckim i ciepłym Euxynem,
Wszystkie piękności pokonać gotowy,
Jest Król ze zwycięstw chlubiony przed gminem,
Ma co zniewala i to co zastrasza,
Skarby Augusta dzielność Eneasza.

Ledwo wyrzekła to smutne nazwisko,
Dydo głos jędzy przerwawszy zawoła:
„ Oszczędź mi bolów o losów igrzysko!
„ Któraż męczarnia zrównać z moją zdoła?
Na to stojące poufalsze blizko,
Otaczać Xiężnę zaczęły do koła,
Tlejące węzły i rycerskie pasy,
Wracały pierwsze i zmysły i wczasy.

Nie zawsze skutek zamiary ujści,
Nie zawsze równy los wybiegom służy,
Tak zręcznie pocisk rzucony zawiści,
Że o Dydony chęciach dla niéy wróży.
Już pewna bliskich chcąc ukryć korzyści,
Zasępia czoło i oka przymróży,
Wtém jedna z pierwszych, gdy trwa zamieszanie,
Między Królową, a zawiścią stanie.

Włos hebanowy uwity w piérścienie,
Na śnieżnéy szyi miły nieład składa,
Wzdęta pierś, srogie oko, krótkie tchnienie,
Straszliwą sercu burzę zapowiada,

Niepewne kroki, gwałtowne ruszenie,
Gasnące róże twarz wydaje blada,
W jednéy żelazo, w drugiéy ręce czara,
Głos wtém się rozniósł... Manzara!... Manzara!

Trzymay się, woła, Królowo z wyrokiem,
Jest on móy smutny kochanek i luby!
Czego chce zawiść, krwi zlana potokiem?
Nie syta moją żąda jego zguby.
Pomniy, przed twojém gdym stanęła okiem,
Jakeś mi pani uczyniła śluby!
Mamyż przed jędzy dziś uledz potęgą,
Ja z memi losy, ty ze swą przysięgą?

Słusznie się zawiść na cnotę zuchwali,
Słuszne pociski wyrzuca w téy dobie,
Któryż głos, która ziemia go nie chwali,
Zalety jego nie znaneż są Tobie?
Kto kochał czułéy, kto kochał wspanialéy,
Herkules w sile, Adonis w ozdobie,
On jeden umiał pogodzić starania,
Swéy wyniosłości i swego kochania.

Pozostać łupem zawiści by miały,
Tyle przymiotów, takie niebios dary?
Jeżeli próżna dla nikczemnéy chwały,
Szuka nieszczęściem w nim nowéy ofiary,
Drugi raz zginę gdy on został cały,
Na mojéy głowie spełniwszy zamiary;
Chlubna zwycięztwem wracając do piekła,
Zazdrośnych mężów niech pouczę wściekła.

Ta na to.... skargą twoją się nie wzruszę,
Niknie dotkliwość w zapału wyrazie,
Potrzebną siebie zasługą bydź tuszę,
Jestem tym światu, czém cień jest w obrazie;
I zbrodni ciemność cnocie daje duszę,
Mnie winien kto żył na miedzi lub głazie,
A jeśli zgrozę me czyny roznoszą,
Pamiętna pomsta jest Bogów roskoszą.

Padały miasta, czy wstawały boje,
Dla mnie Bohatér zbroję na się wdziewał,
Dla mnie Achiwy szli zażegać Troję,
Maro Kartago wznoszącą się śpiéwał:
Dla mnie cierpiały pięknych dziewic roje,
Sokrates w siebie śmierć z napojem wlewał:
Z obecnéy strony wiodą zysk daleki,
Za chwilę życia wszystkim dałam wieki.

Dziś zaś o pani gdy wstaję przed tobą,
Przed praw powagą uraza ma znika,
Przywary Królów są ludu chorobą,
Zajęły naród Bachus i podwika;
Starosta, który Starców jest ozdobą,
W młodzieńcu miałby znaleść przeciwnika,
Wiek, mienie, cnoty, powaby i tusza,
Godne byłyby twego Sycheusza.

Szczęśliwy trefniś, zuchwały młodzieniec,
Nad poczesnego męża się wynosi,
Jutro wieczorem przysięgę, lub wieniec,
Odbierze skrycie z rąk nadobnéy Zosi,

Czci godny starzec, ten miłości jeniec,
Kiedy smutnemi łzami lica rosi,
Przeciwnym losem trzymany zdaleka,
Twojego wsparcia, twéy litości czeka.

Te skoro skończy z ułożoną twarzą,
Dalsze chytrości w milczeniu zachowa.
Przytomnych dla się umysły kojarzą,
Ta zgubić, tamta ocalić gotowa,
Jakim je losem wyroki obdarzą,
Obie z Królowéy ust czekają słowa.
Gdy bojaźń dręczy, a nadzieja wspiera,
Milcząca dotąd Dydo głos zabiera.

„ Z tobą Manzaro chce dzielić uciski,
„ Masz mą przysięgę, téy Bogowie świadki;
„ Zadne Augusta nie złamią pociski,
„ Wyższą mieć będzie duszę nad przypadki.
„ Los często wielu Bohatyrom śliski,
„ Dwa mu zostawił znakomitsze spadki,
„ Tych on użyje, te mu nieba dały,
„ Miłość piękności, z miłością do chwały.

„ Ten zysk Królowi tylko przynależy,
„ Los jego ludom same klęski poda,
„ Nikczemność uśpi stan rzeskiéy młodzieży,
„ Starców zrzędniéysza obeymie niezgoda,
„ Własny go wojak wśród bitwy odbieży,
„ Ze strat pomniéyszych wstanie większa szkoda,
„ Następcom jego dola nie łaskawa,
„ Lecz tak chce zawiść, tak chce jego sława!

„ Scigane ze niną Wy przez losy mściwe:
„ Działaycie w godnéy oraz wspólnéy sławie,
„ Mamyż bydź same tylko nieszczęśliwe,
„ Czuć ciągle bole, żyć w smutnéy obawie,
„ Jakież nam walki bardziéy są godziwe?
„ Teście powinne niedoli i sławie,
„ Niech miłość, która tak nam źle służyła,
„ Pozna w nas jaka pozostała siła!

„ Gdziekolwiek onéy zabiegły pieszczoty,
„ Kędy jéy wdzięki, gdzie roskosz udziałem,
„ Bitniéysze półki, waleczniéysze roty,
„ Wiedźcie z pośpiechem i walczcie z zapałem,
„ Na jéy ponęty nastalcie swe groty,
„ Płeć swą zaleććie zamiarem wspaniałym,
„ Zawistnéy bitwy by nie można minąć,
„ Należy walczyć, zwyciężać lub zginąć.

„ Jeśliby płocha, jeśliby zdradliwa,
„ Wiernéy stałości dopadła oręża,
„ Niech wtedy wasze baczenie przyzywa,
„ Żądzy na Zonę, sytości na Męża.
„ Co do kochanków, tych piérwsze ogniwa,
„ Niech rozrywa, niszczy i wytęża,
„ Szczególniéy w krajach sławnego Augusta,
„ Niechay serc bole powtarzają usta.

„ Piérwsze wyprawy tak potężnéy straże,
„ Swiadomsza miéysca powiedzie Fatyma,
„ Prawemu skrzydłu Heldegond rozkaże,
„ Luidgarda wodze lewego niech trzyma,

„ Przodkowi woyska przykłady okaże.
„ Z wyższego męstwa znajomsza Monima,
„ Od wód Euxynu po wyniosłe Tatry,
„ Rozkazów macie słuchać Kleopatry.

To rzekłszy Dydo opuszcza pokoje,
Smiałe dziewice ruszają orszakiem,
Kupią się zewsząd uzbrojonych roje,
Krzyk ich radości i zapału znakiem,
Zawiść wraz z niemi ulata na boje,
Ja zaś w téy sprawie nie będąc wojakiem,
Rzuciwszy góry, rzuciwszy wyroki,
Pędzę nawiedzić ciche Naliboki.

Przybywam pilnie, lecz i tam Podczaszy,
Krząta się syna wyprawą na sali;
Jedni rdzę dawną ścierają z pałaszy,
Drudzy siedzenie i rząd opylali.
Wtém niespodziany głos wszystkich przestraszy,
Gdy chłopiec doniósł: goście przyjechali.
Jur Kauzyperda i Proboszcz Baptista,
Przywiózł ich Maciéy Dudlicz organista.

Piérwszy raz w życiu całém na przychodnie,
Z gniewem Podczaszy pięścią w stół uderzył:
„ Człowiek w swym domu nie żyje swobodnie,
„ Czy kaduk nadał? czy djabeł ich śpierzył?
„ Wszelako, muszę powitać ich godnie.
To mówiąc, kiedy ku drzwiom szybko zmierzył,
Nim te natręty przyjął mimo wolę,
Kazał dzban z miodem postawić na stole.

Wypił Podczaszy za zdrowie Proboszcza,
Wypija wdzięczny Proboszcz za dziedzice,
Jur się tym czasem pragnący wyposzcza,
Połyka ślinkę ocierając lice;
Z kolei miodkiem kiedy się ugoszcza,
Wykrzyknął żwawie objąwszy szklennicę:
Vivant Pincernæ, prædari honores,
In muris, ruris, guris atque boris.

Zręczne pochlebstwo komuż się nie nada?
Kogoż nie wzniesie próżność załechtana?
Wzajemny odstrzał gospodarz układa,
I w tém nektaru nalawszy ze dzbana,
Ochocze zdrowie gościom zapowiada,
Pijąc w niemylną prawicę Plebana:
„ Vivat Palestra! niech jéy mądrość słynie,
„ I niech tak zawsze mówi po łacinie.

Szły w miłém kole i żądanéy pracy,
Szklanka po szklance, a słowo po słowie,
Wierni uprzeymie spełniali rodacy,
Oyczyzny, Króla, Oyców, Matek zdrowie;
Cycero w końcu Tacyt i Horacy,
Po gospodarza gdy się snuli głowie,
Xiądz Proboszcz pustki zayrzawszy we dzbanie,
Rzekł: niech poganów czytają poganie.

Swada z sensatem, młot na czarownice,
To mi to dzieła, to mi to Autory.
Co za powieści, co za tajemnice!
Jak myśl głęboka! jakie piękne wzory!

Czy wielbisz starca, czy chwalisz dziewice,
Każdéy w nich równie użyjesz perory,
Każda z nich bowiem ma przymiot jedyny,
Chcesz mów na pogrzeb, chcesz mów na rodziny.

Mówiłby dłużéy, ale Podczaszyna,
Między mędrkami stanąwszy u dzbana,
Rzekła: móy mężu! wam służy godzina,
Wyście weseli, ja jestem stroskana:
Czyliż téy zwłóki zaszkodzi przyczyna,
Wiesz co Dorota objawiła z rana?
Ach! moja duszo, wielki z ciebie śmiałek,
Wyprawiać syna z domu w poniedziałek.

Na to Podczaszy: wszelkie przepowiednie,
Są to kuglarstwa, są to czyste baśnie,
Rzeczy, jakowe rozpoznajesz we dnie,
Za co nie widzisz, kiedy światło zgaśnie.
Mądrość przedwieczna w tém działać pośrzednie,
Zdolności ludzkiéy odmówiła właśnie,
Wyjazd więc syna dniem jednym śpóźniony,
Wydarty gusłom poświęcam dla żony.

Dopiéroż z męża odpowiedzi rada,
I w rozrzewnieniu i w prostéy szczéróści,
Ciekawym gościom wiernie opowiada,
W jakiéy dewotka stanęła świetności,
Jako ich Syna losem nadal włada,
Jakie mu dała nauki przyszłości,
Jako swym kijkiem gdy koło kréśliła,
Spuściwszy ogon suczka zaskomliła.

Swięty czy szatan rzecz to oczywista,
Rzekł Xiądz, że z babą musieli bydź w parze;
Reszta słuchaczów z téy mowy korzysta,
Wszystkim się nagle przeciągnęły twarze,
Podczaszy milczy, a Jeśpan Jurysta,
Zoczywszy trafnie w końcu kałamarze,
Morae precantus słyszący przypadek,
Czas, miéysce, czyny, zapisał jak świadek.

Po tych wypadkach nie czekając dłużéy,
Że tam gdzie czary przebywać jest grzechem,
Póki pogoda, i póki dzień służy,
Gdy gospodarstwo żegnają z pośpiechem,
Imość im ścieżki Doroty nie wróży:
Podczaszy na to ozwał się z uśmiechem,
Xiędza Proboszcza tak spasłe kasztany,
Wszystkie podeptać zdołają szatany.

Ruszają żwawo, alić niespodzianie,
Z boku pod konia przypada kundlica,
Leyce bez władzy, daremne wołanie,
Koń wierzga, trzykroć pęka z trzaskiem sznica,
Nim do ratunku orszak ludzi stanie,
Gdy wrzeszczy Pleban, kiedy klnie woźnica,
Rzekł Jur do Popa co się wyleść mościł,
Djabeł się widzę w tém miéyscu rozgościł.

Widząc Podczaszy tak przypadek srogi,
Podróżnym prędzéy użyczył Skarbnika,
Gdyby z okładnéy nie zmylili drogi,
Konnego kazał dadź im przewodnika.

Wnet się przesiedli, przesiadłszy się w nogi.....
Lubo Xiądz Proboszcz z Kauzyperdą zmyka,
Ja nieco śmielszy, na sprawy uroczne,
Beśpiecznie w domu uprzeymym odpocznę.

Do Redakcyi list piąty.

Jest to pięknie kiedy się może naród wychwalać, że królóm swoim nie przeniewierzał się. Jeszcze dziś rozchodził się ten chlubny głos w sali starodawnych wielkich obrad w Warszawie. Głos ten w narodzie wiekami upoważniony, jest po większéy części prawdziwym. Żebyśmy tylko znaleźli w naszym narodzie Herodota, Tucydydesa, albo Liwiusza, (w ówczas kiedy Sławiański język stanie się tym dla Europy co Grecki) w ówczas, moglibyśmy doczekać się, że dzieje naszego kraju przyjemniéyszeby od innych stały się. Ale to są marzenia. Mieliśmy i my smutne momenty, gdzie wykroczenia wiekóm właściwe, arystokrackiéy niewierności, nie były tak dalece na ziemi Polskiéy niepraktykowane.

Familia Piastów podzieliła się Lechią: w ówczas dają się snadno liczyć arystokratów spiski i bunty, w ówczas nie raz z łatwością wyrzekano się swoich panów. Jeszcze tak było za panowania Przemysława

odnowiciela koronacyi. Wiadoma dobrze zacność tego pana i nieszczęśliwy zgon jego, że czarną sąsiednich Niemców zdradą, pełen talentów i królewskich przymiotów, poległ. W miłości swéy nie stały, nie pewna jakim sposobem dał powód do śmierci cnotliwéy żony swéy Ludgardy. Rozhukane w nieładzie fakcye możnych, bywały w ówczas istotną w odmianach panów sprzężyną, ale Łokietek był przy takim zdarzeniu od całego narodu opuszczony. Cudzoziemiec Wacław raz piérwszy do tronu powołany (przez możnych). Wnet atoli nadeszły czasy (od zgonu zdraycy Szamotulskiego), że zamachy na władzę panującą, za zbrodnię uznano.

Rozważmy te trzynastego wieku zdarzenia, może do przypomnienia nie miłe. Nie mieli pod owe czasy prawa, gromić królów swoich Polacy, były spiski i bunty kilku i pewnéy liczby fakcyonistów kaprysy, nayczęściéy źle od ludu uważane, ale seymów nie bywało i komploty podobne seymowemi stać się nie mogły. W historyi królów Polskich Teodora Wagi czytam o różnych zjazdach. Za Kazimierza sprawiedliwego zjazd w Łęczycy, za Leszka białego zjazd w Gąsawie, (który nie wiem za co Wadze podobało się nazwać wiecami, które były zjazdami sprawiedliwości, czyli sądami, jakie pod ówczas nie exystowa-

ły), za Kazimierza wielkiego zjazdy częstsze do Krakowa, do Wiślicy i późniéy roku 1356. Zwyczay zjeżdżania się widocznie wzrastał, ale z tych niektóre tylko seymów imie przybierać mogły, a jeśli nawet, które imie seymu, sjemu, *) nosiły, to pewna nie były seymami narodowemi. Narodowe rosną dopiéro od Kazimierza wielkiego, a Teodor Waga (w edycyi poprawnéy) dopiéro o seymikach i seymach porządnie pod rokiem 1404 za Jagiełły wspomina. Ale nam dosyć prawdy po wszystkich szkołach wiadoméy, że przed Kazimierzem wielkim, bywały niekiedy zjazdy, rzadko bywały, a nigdy nie ukazały się seymami narodowemi.

Nastał czas seymowania, seymowania stanu szlacheckiego, gdzie już prawdziwie naród (szlachta) przez się działał, a w wiekach nawet upadającéy rzeczypospolitéy, od czasu Zygmunta III. buntowniczych seymów przykładu nie było, w czasach, kiedy prawem zawarował sobie naród wypowiedzenie posłuszeństwa królowi w przypadku przestępowania przysiąg jego i to prawo swoje przypominał mu. Nadto był pewny Zygmunt stary, że na niego zamachu

---

*) Seym, Sjem, pochodzi od imać, zjmanie się do wspólnych narad, obradowania.

bydź nie mogło, bo naród Polski tego się nie dopuszczał. W wiekach upadającéy rzeczypospolitéy, były rokosze, konfederacye, bunty, ale seymy takiemi się nie stały. Może więc naród cieszyć się, że królóm nie przeniewierzał się, a tym bardziéy, że na królewskie dni nigdy nie nastawał.

Do zdania WMPana Mci Panie Redaktorze Tygodnika Wileńskiego udaję się, czyli godzi się jakimbądź sposobem, te prawdy, tak zacierać, żeby one bezkarnie stratowane były, żeby zacny król Przemysław, stał się zapamiętalcem, gwałcicielem praw, nikczemnikiem, a naród, wtedy seymujący, kiedy do seymów nie miał prawa wbrew wszelkiéy rzetelności, zmieniający seymy w buntownicze obrady, chciwy krwi króla własnego! Wasz Mość Pan Mci Panie Redaktorze Tygodnika Wileńskiego, uważ, czy dobry i przyjemny skutek takie prawdy sfałszowanie sprawi? co na to estetyka powie? czy nie prawdę napisałem w liście trzecim na karcie 233. Tomu piątego Tygodnika Wileńskiego, że pomimo wolności fałszowania prawdy, zatarty jéy charakter, w poezyi szkaradne i nie przyjemne skutki sprawia. Bo kogoż takie przemiany nie obrażą. Dobrze recenzent śpiéwów historycznych w Dzienniku Wileńskim powiedział o tym, że tak zepsuta prawda

była istotną pobudką do poruszenia tylu uwag przeciwko Ludgardzie. Ale ten recenzent, jakże krótko, jakże łagodnie o téy tragedyi z dziwnym ze strony historyi pobłażeniem, napomknął **).

Nie wiele ja dłuższych wyrazów do myśli jego przydam. Przydam jednak, bo nayprzód, dawno chęć do tego miałem, od czasu tego jak sztuka ta przesławna przed dziesięcio miesiącami tu na teatrze Wileńskim reprezentowaną była i na téy reprezentacyi będąc, mimo dziecinnéy w domu wrzawy i gospodarskich kłopotów, różne wyrazy głęboko mi w myśli utkwiły. Bo powtóre, mam prawo o téy tragedyi w mojéy woynie podjazdowéy nie wykraczając przeciw przedsięwzięciu mojemu jakie w tych listach obrałem, mówić, ponieważ mały z niéy wyciąg nie dawno w piśmie peryodycznêm, w Tygodniku Warszawskim znaydował się. Wyciąg ten w tragedyi jest

---

**) Interesująca ta recenzya nie całkowicie w Dzienniku wydrukowaną została. Podobało się Redakcyi ważne o upadku Polski uwagi wyrzucić. Można je znaleść w téyże oddzielnie drukowanéy recenzyi pod tytułem: *Spiewy historyczne pod względem historycznym uważane.* Czego dostać można we wszystkich księgarniach wileńskich. *Przyp. Red.*

miéyscem naypysznieyszym, a do tego nieźmiernie wiele zyskującym, że odłącznie od reszty tragedyi ogłoszony. List móy trzeci uczynił zakróy do Ludgardy, Seliko odwlokła zamiary, teraz zaś przypomniawszy WMPanu Mci Panie Redaktorze Tygodnika Wileńskiego prawdziwie jak były zdarzenia za czasów króla Przemysława, i złożywszy narzekania ileby te traciły gdyby sfałszowane były, teraz mu przypomnę osnowę tragedyi.

Tragedya ta historyczna, chwała bogu, w dziejach Polskich nie znayduje się, ani też narodu Polskiego nie wystawia. Uwodzony uboczną miłością i zbiegiem okoliczności i intryg Przemysław, żonę swą Ludgardę chce zgubić. Dopuszcza jéy zamordowania. Buntowniczym sposobem powstaje na niego, senat, seym i lud. Przemysław z desperacyi, chce godnie umrzeć, sam się zabija. (Od własnéy, choć żaden u nas król samobóystwa popełnić przyczyny nie miał, nie od margrabiów Brandeburgskich ręki ginie.) O to w ogóle rzecz! charaktery osób jakąż przyjemność jednać mogą? Ludgarda jedynie wystawia cnotę niczym nie zachwianą, ani uwiedzioną, ale podobnie, nikt więcéy. Sambor w dosyć wysokim znaczeniu zbrodniarza, podburzając swojego pana, donosi mu fałsze i smutne prawdy. Przemysław sam, namiętno-

ścią uniesiony, uwodzony, nie czuje, że mocy swéy nadużywa, pod koniec przekonany o Ludgardy niewinności, nie wraca na drogę cnoty, więcéy namiętnością uniesiony niż Ryxa, która w swoim czasie, kiedy Ludgarda o nastawanie na ich życie oskarżana była, cieszyła się, *że życzenia ich obóyga spełniły się.* Na ostatek Kmita jest poczciwy, a stary Nałęcz z nadzwyczaynéy cnoty zawołany. Oczerniani są przed królem o spiski, o zmowy z Ludgardą, oczerniani fałszywie. Aż w akcie czwartym, cnotliwy Nałęcz i Kmita z książęciem Henrykiem oycem Ludgardy, knują spiski detronizowania króla, do czego całą reprezentacyę *narodu*, to jest *seymu* wplątać myślą, do tego wplątać i niewinną Ludgardę. Owóż nadchodzi scena w Tygodniku Warszawskim położona. Na próżno król uwiedziony, wielkie prawdy powtarza, *naczelnik spisku*, Nałęcz cnotliwy, grozi mu. Po spełnieniu morderstwa Ludgardy, tenże Nałęcz wychodzi na czele *ludu*, *narodu*. Król słyszy, że *lud chce krwi jego*, słyszy z ust cnotliwego herszta spisku, że Wacław królem obrany, król przekonany, że do tego naród prawa niemiał. Wzgardzony od wszystkich, życie sobie odjął.

Nie lęka się historya z boleścią liczyć bunty z wieku trzynastego, nie waha się wyznać, że starosta Gdański, stał się mor-

dercą Leszka białego (króloboycą), i wystawienie okropnéy téy sceny jako zbrodnię na teatrze, nie obrazi chluby narodowéy tyle wieków powtarzającéy, że się nie splamił króloboystwem. Aż w dziewiętnastym wieku, znamienity poeta, który jeszcze ostatnie dogorywającego narodu seymy oglądał, wywodzi przed oblicze zdumionego spektatora, niepohamowaną chciwość krwi królewskiéy w narodzie? za krew niewiasty, królowéy, cnoty. Spektator nie pewny swych uczuć, właśnie w téy pysznéy scenie w Tygodniku Warszawskim umieszczonéy, tak mocą wyrazów i wiersza podniesionéy, spektator waży się między królem i Nałęczem, daćli królowi czy Nałęczowi oklaski? Tegośmy w czasie reprezentacyi sztuki na naszym Wileńskim teatrze doświadczyli. Górna poezya równoważy obu, świadomy Nałęcza kroków słuchacz, potakuje królowi, że król z prawami swemi, oraz z istotą jak była zgodnie, odzywa się, że wykraczających, pryncypała i naród napomina, powinności ich wytyka i składa argumenty, których Nałęcz wprost nie odpiera, których odeprzyć nie można. Chciałby słuchacz, przejęty uczuciem, że naród zawsze był królóm swoim wierny, oddać już aplauz, wstrzymuje się, gdyż jeszcze Nałęcz ma mówić. Gromi cnotliwy buntownik uwiedzionego pana wła-

snego, nie wchodzi w spory z królem, ale swego dopomina się. Mówi Nałęcz ostatni, wymuszone uzyskuje oklaski. Uzyskuje te oklaski wymuszone, bo szkaradne wykroczenie Nałęcza i narodu, zamach na monarchę i władzę (krwi królewskiéy zapragnienie) ukoloryzowane łudzącym pretextem pomsty nikczemnego wykroczenia królewskiego. I tak spektator mimowolnie pochwala przestępstwo. Czyliż taki obrót sztuki, takie prawdy wykręcenie, może mieć dobry wpływ na serca słuchaczy? czyliż nie zbija ich z prawych uczuć, których nadaremnie szuka? Pod koniec sztuki, wyraźnie ostygłość i wstręt wzmagają się. Widzi każdy popędliwy króla błąd, w którym ów król, mimo długiego czasu w akcie piątym zostawionego mu, nie poprawił się, błąd skarcony rozmyślnym nie prawéy cnoty przestępstwem. Cnota Ludgardy znikła, a nikczemność króla i hańba niepraktykowanego wykroczenia narodu pozostała.

Słyszę od przyjeżdżających z Warszawy, że Ludgarda nie wielkim stała się na teatrze Warszawskim powabem, przynaymniéy nie poszła w porównanie z Barbarą, która, jak to widzimy i z Gazet Warszawskich, rzęsisto powtarzana, patrzy na nieprzebrany nacisk publiczności pięknémi uczuciami chlubiącéy się. Barbara na te-

atrze naszym Wileńskim graną nie była, o niéy mojego zdania powiedzieć nie mogę. To jednak porównanie Ludgardy z Barbarą może mówić za nami, że pomimo wszystkiéy poezyi, braknie Ludgardzie tego, coby serce głaskało. Dziwna rzecz, że Tygodnik Warszawski nie znalazł jakiéy roli z innéy sztuki, do wystawienia w sztychu Weterana sceny narodowéy.

Dosyć tego. W udramaceniu nieprzyjemnéy fikcyi, w rażące snucie się osób w sztuce, gdy każda zawsze na zawołanie jest; mówić do mnie nie należy, bo nie tyle całość i sztuka w sztuce celem moim, ile uderzenie w te kilka słów, które Tygodnik Warszawski, jako miéysce szczytne umieścił. Widzisz WMPan Mości Panie Redaktorze Tygodnika Wileńskiego, że stąd wynika, iż radbym był ażeby Tygodnik Warszawski wyciągu tego nie kładł. Różne są gusta i różne uczucia, a mnie tak dalece osnowa i duch tragedyi Ludgardy razi, że radbym, żeby nie exystowała. Nie z powodu zazdrości literackiéy dzieje się to, bo wiérszy nie składam, bo tragedyi nie piszę i autorem prócz tych listów prawie nie jestem. Wynika ta niechęć moja ku niéy, prosto z tego, że widzę, iż zacność prawdy, jest niebacznie upodlona. Rozpisałem się przeto i ulżyłem sobie ciężaru z serca. Utyskując na recenzenta

spiéwów historycznych, że lekko sprawę historyi, któréy broniłem opuścił, wchodzę jednak w myśl jego, i posądzony będę że nazbyt partycypuję zdanie cudze i nazbyt za nim ubiegam się. Chętnie w tym razie godzić mi się ze wspomnionym recenzentem wypada, w wielu też razach innych, miło mi jest do takiéy jednomyślności przychodzić, wśpiérany będąc od niego w przedsięwzięciu moim i w téy zabawie, czego, może z pociechą WMPana Mci Panie Redaktorze Tygodnika Wileńskiego w następującym liście dowody złożę.

Jestem......

N.....

BAYKA
Z LAFONTENA.
ŻOŁĄDŹ I DYNIA.

Wszystko jest dobrze cokolwiek Bóg czyni;
Tego nayprostszy przykład macie w dyni.
Wieśniak rzekł widząc raz dynię nie małą,
Prawdziwie nie wiem co się Stwórcy zdało,
Ze taki owoc umieścił na ziemi:
Jabym inaczéy postąpił z niemi.
Niechby na téy grzędzie,
Rosły żołędzie,
A te wielkie dynie,
Na téy dębinie.

Jakie drzewo takieby i owoce były:
Lecz.... szkoda, że się o to nie radził Daniły,
Ten o którym nam tak wiele,
Xiądz pleban prawi w kościele;
Zapewne iżby wszystko stało się inaczéy;
Bo czemuż dynie nie są na tym dębie raczéy?
Albo żołądź ten drobny nie rośnie na ziemi?
Im więcéy zważam rzecz całą,
Tém jaśniéy widzę, że się opak stało.
Zajęty mocno uwagami temi,
Chciał sobie spocząć i zasnął przy dębie,
A wtém go żołądź po nosie ugodzi,
Nagle zbudzony, macnął się po gębie,
I jeszcze w wąsach żołędzia znachodzi.
To zdarzenie jego skłania,
Do odmiany swego zdania:
Ach! cóżto, rzecze, krew mi z nosa płynie?
A gdybyż Bóg na drzewie pozawieszał dynie?
Gorzeyby jeszcze było,
Jużby i nie żył Daniło.
Widzę że zrobił to nie bez przyczyny,
Nie chciał jeszcze mojéy straty,
Tak wielbiąc Boskie czyny,
Wieśniak powrócił do chaty.

Felicyan Freyend.

ODA VII.
Z ANAKREONTA
NA GOŁĘBICĘ.

Skądże to lecisz gołębico miła?
Zkąd ten wydyszasz wszędzie zapach taki,
W powietrzne z sobą roznosząc go szlaki?
Gdzieżeś się przecie w tę podróż puściła?
Mnie Anakreon posłał do chłopczyny,
Batylla — w jego oddała mię rękę,
Wenera wdzięczna za małą piosenkę,
Ja mu też wiernie służę z téy przyczyny.
Widzisz i teraz lęcę z jego listem:
Mówią, że on chce, skrócić mą niewolę,
Ale ja branką przy nim zostać wolę.
Czegoż po polu tłuc się rozłożystem,
Szukać po drzewach i górach ze znojem,
Grubego jadła, od konta, do konta?
Tutay chleb biorę z rąk Anakreonta,
A jego wino jest moim napojem.
Pijąc zaś skaczę, skrzydły go oblokę,
Lub zasnę sobie na jego cytarze:
Bądź zdrów, masz wszystko, już ci tyle gwarzę,
Swiegotliwszą mię zrobiłeś nad srokę.

Tenże.

Dozwala się drukować z warunkiem dostawienia do Komitetu Cenzury siedmiu exemplarzy dla miéysc prawem przeznaczonych. Dnia 12 miesiąca Maia roku 1818.

August Becu Prof. Ord. Czł. K. C.